



Rentierzy rządzą. I niszczą świat.

Paul Krugman - 2014 r.

Thomas Piketty, profesor Paryskiej Szkoły Ekonomii, nie nosi powszechnie znanego nazwiska. Ale wkrótce to się może zmienić, bo wydano angielski przekład jego znakomitych rozważań na temat nierówności "Kapitał w XXI wieku".

Żyjemy w nowym połączanym wieku, w drugiej la belle époque - twierdzi francuski ekonomista. Erę tę, tak jak jej poprzedniczkę sprzed stulecia, definiują bowiem wielkie nierówności ekonomiczne i niewiarygodny wzrost majątku należącego do 1 proc. najbogatszych ludzi. Piketty i kilku jego kolegów, zwłaszcza Anthony Atkinson z Oksfordu i Emmanuel Saez z Berkeley, odkryli to, wykorzystując techniki statystyczne do śledzenia koncentracji dochodów i bogactwa w przeszłości - od początku XX wieku w Ameryce i Wielkiej Brytanii do końca XVIII wieku we Francji.

I dokonali prawdziwej rewolucji w ekonomii. Przed nią w dyskusjach o nierównościach ekonomicznych bogaczy zwykle pomijano, a niektórzy ekonomiści (nie wspominając już o politykach) wszelkie wzmianki o tych różnicach próbowali wręcz zakrzyczeć. "Ze wszystkich tendencji działających na szkodę zdrowej ekonomii najbardziej kuszącą - a w mojej opinii najbardziej trującą - jest skupianie uwagi na sprawach dystrybucji" - oświadczył w 2004 roku Robert Lucas Jr z University of Chicago, najbardziej wpływowy makroekonomista swego pokolenia.

Drugi połączany wiek

Jednak nawet ci, którzy o nierówności skłonni są mówić, na ogół skupiali uwagę na luce między ubogimi z klasy robotniczej a tymi, którym ledwie dobrze się powodzi - nie zaś na przepaści dzielącej biednych od naprawdę bogatych. Koncentrowali się na absolwentach wyższych uczelni dorabiających się szybciej niż robotnicy albo na górnej jednej piątej populacji przeciwstawionej niższemu czterem piątym. Szybko rosnące dochody menedżerów najwyższych szczebli oraz bankierów nie interesowały ekonomistów.

Wykazanie więc przez Piketty'ego i jego kolegów, że dochody słynnego dziś "1 proc." (a nawet jeszcze węższych grup) mają kluczowe znaczenie w dyskusjach o rosnącej nierówności,

miało moc objawienia. Temu odkryciu towarzyszyła inna rewelacja: mówienie o "drugim połączanym wieku", które mogło się wydawać przenośnią, wcale przenośnią nie jest. W szczególności w USA, gdzie udział w dochodzie narodowym 1 proc. najbogatszych ludzi, przed I wojną światową wynoszący około jednej piątej dochodu narodowego (podobnie jak w Wielkiej Brytanii), spadł co prawda do 1950 r. o ponad połowę - ale od 1980 r. ponownie gwałtownie wzrósł, wracając do poziomu sprzed wieku.

Kapitalizm dziedziczony

Ale czyż dzisiejsza elita ekonomiczna nie różni się znacznie od tej z XIX wieku, gdy wielkie bogactwo zazwyczaj było skutkiem dziedziczenia? Przecież są nią ludzie, którzy zarobili na swoją pozycję, nieprawdaż?

Piketty mówi, że to nie do końca takie proste. Główną tezą jego "Kapitału w XXI wieku" jest twierdzenie, że nie tylko powróciliśmy do poziomu nierówności dochodów z XIX wieku, ale że jesteśmy też na ścieżce zmierzającej do "dziedzicznego kapitalizmu" (patrimonial capitalism), w którym szczyty gospodarki pozostają pod kontrolą nie utalentowanych jednostek, lecz rodzinnych dynastii.

Aż do rewolucji Piketty'ego większość tego, co wiedzieliśmy o nierówności dochodów i bogactwa, pochodziła z ankiet, w których prosi się mieszkańców losowo wybranych gospodarstw domowych o wypełnienie stosownego kwestionariusza. Wzorcem takich ankiet są coroczne badania Census Bureau (urzędu statystycznego USA) i przeprowadzana przez Rezerwę Federalną co trzy lata ankieta na temat podziału bogactwa. Oba te badania wskazywały, że do 1980 r. dochody rodzin na wszystkich poziomach rosły podobnie jak gospodarka. Ale po 1980 r. lwią część tego wzrostu trafiała do rodzin o najwyższych dochodach, gdy rodziny mieszczące się w dolnej połowie dochodów pozostawały w tyle.

Dzięki wysiłkom m.in. Luxembourg Income Study, instytucji badającej dochody i bogactwo w skali międzynarodowej, wiemy dziś, że w USA podział dochodów jest znacznie bardziej nierówny niż w innych rozwiniętych krajach. I że znaczną część odpowiedzialności za to zjawisko można przypisać bezpośrednio działalności rządu. W krajach europejskich, podobnie jak w USA, dochody z działalności rynkowej na ogół są bardzo zróżnicowane. Jednak kraje te przeprowadzają redystrybucję poprzez podatki i transfery w dużo większym stopniu, niż ma to miejsce w USA. Prowadzi to do znacznie mniejszych nierówności w dochodach.

Jednak przy całej swojej przydatności dane ankietowe mają istotne ograniczenia: na ogół nie w pełni uwzględniają albo całkowicie pomijają dochody osób na szczycie skali. Mają też ograniczony zasięg historyczny - nawet dane ankietowe USA sięgają jedynie roku 1947.

Piketty i jego koledzy wykorzystują zupełnie inne źródło informacji - dane podatkowe - i łączą je z innymi źródłami, by uzyskać informacje uzupełniające te pozyskane z ankiet. A dane podatkowe mówią nam szczególnie dużo o elicie. Poza tym szacunki oparte na podatkach sięgają w o wiele bardziej odległą przeszłość: w USA podatek dochodowy istnieje od 1913 r., w Wielkiej Brytanii - od 1909, Francja zaś, dzięki wyszukanemu systemowi opodatkowania majątku trwałego i przechowywania danych, ma informacje o bogactwie sięgające końca XVIII wieku.

Tym sposobem Piketty pokazał, że mała nierówność w dochodach charakteryzowała Skandynawię z lat 70. i 80. (do górnego 1 proc. społeczeństwa należało 7 proc. dochodów, gdy do dolnych 10 proc. - 30 proc. dochodów), średnia - Europę z roku 2010 (odpowiednio: 10 i 25 proc.), a wysoka Europę w 1910 r. i USA w 2010 r. (po 20 proc.).

Większość badaczy zajmujących się nierównością przyjmuje założenie, że wszystko dzieje się tam, gdzie się zarabia. I że dochody z kapitału nie są ani ważne, ani interesujące. Piketty wykazuje jednak, że nawet dzisiaj to przychody kapitałowe, a nie wynagrodzenia, zajmują najwyższą pozycję w dystrybucji dochodów. Dowodzi też, że w przeszłości - w czasach *la belle époque* w Europie i w mniejszym stopniu w trakcie połączanego wieku w USA w USA - głównym czynnikiem napędzającym nierówności w dochodach był nierówny podział aktywów, a nie różnice w wynagrodzeniach.

Na koniec zaś udowadnia, że właśnie do takiego modelu społeczeństwa wracamy.

Piketty postrzega historię ekonomiczną jako relację z wyścigu odbywającego się między akumulacją kapitału a innymi czynnikami napędzającymi wzrost, w tym głównie wzrostem liczebności ludności i postępem technicznym.

Oczywiście, w tym wyścigu nie może być jednego wygrywającego w bardzo długim okresie. Zasoby kapitałowe i całkowity dochód muszą wzrastać mniej więcej w takim samym tempie. Jednak w poszczególnych okresach jedna albo druga strona może uzyskać przewagę na całe dziesięciolecie. W przededniu I wojny światowej Europa nagromadziła kapitał wart ok. sześciu-siedmiu razy tyle, ile wynosił jej łączny dochód narodowy. Jednakże w ciągu następnych czterech dziesięcioleci fizyczne zniszczenia i skierowanie oszczędności na wysiłek wojenny obniżyły tę relację o połowę. Ponowna akumulacja kapitału nastąpiła po II wojnie, ale był to okres spektakularnego wzrostu gospodarczego - *Trente glorieuses*, czyli "trzydziestu wspaniałych" lat, więc stosunek kapitału do dochodu pozostał niski.

Jednak w latach 70. XX wieku kapitał i bogactwo zaczęły zmierzać z powrotem ku poziomowi

z la belle époque. Piketty mówi, że taka akumulacja kapitału z czasem doprowadzi do odtworzenia nierówności charakterystycznych dla tamtej epoki - chyba że zostanie powstrzymana przez progresywne opodatkowanie.

Tradycyjny pogląd głosi, że nie musimy się martwić o to, że dochody przepłyną od pracowników do właścicieli kapitału, bo udziały kapitału i pracowników w całkowitym dochodzie są stabilne w czasie. Tyle że w bardzo długich okresach tak nie było. Na przykład w Wielkiej Brytanii udział kapitału w dochodach - czy to w postaci zysków korporacji, dywidend, czynszów czy sprzedaży majątku trwałego - spadł z 40 proc. przed I wojną światową do zaledwie 20 proc. około roku 1970, a od tego czasu znowu podskoczył mniej więcej o połowę.

Od czasu, gdy rozpoczął się kryzys finansowy, zyski korporacji poszybowały w górę, podczas gdy w wynagrodzeniach - w tym osób wysoko wykształconych - nastąpiła stagnacja.

Przeszłość pożera przyszłość

Z kolei rosnący udział kapitału bezpośrednio zwiększa nierówności, ponieważ rozkład własności kapitału zawsze jest bardziej nierówny niż przychody z pracy. A gdy stopa zysku z kapitału znacznie przekracza stopę wzrostu gospodarczego, "przeszłość pożera przyszłość": społeczeństwo nieuchronnie zmierza ku dominacji dziedzicznego majątku.

Spójrzmy, jak to funkcjonowało w Europie z czasów la belle époque. Właściciele mogli wtedy oczekiwać, że uzyskają 4-5 proc. ze swoich inwestycji przy minimalnym opodatkowaniu. Tymczasem tempo wzrostu gospodarczego wynosiło zaledwie ok. 1 proc. Bogaci mogli więc łatwo reinwestować tyle ze swoich dochodów, by zagwarantować sobie, że ich majątek (a zatem dochody) będzie rósł szybciej niż gospodarka. W ten sposób wzmacniali swoją dominację ekonomiczną, mając jednocześnie dostatecznie dużo pieniędzy na życie w luksusie.

A kiedy umierali, przekazywali majątki - znowu przy minimalnym opodatkowaniu - swoim spadkobiercom. Przeważająca część majątku, około 90 proc., była dziedziczna, a nie stanowiła oszczędności z zarobków. Ten odziedziczony majątek pozostawał w rękach bardzo nielicznej mniejszości. W 1910 roku najbogatszy "1 proc." sprawował we Francji kontrolę nad 60 proc. majątku, a w Wielkiej Brytanii - nad 70 proc.

Nic zatem dziwnego, że XIX-wieczni pisarze mieli obsesję na punkcie dziedziczenia. Piketty szczegółowo omawia wykład, jaki przed Rastignakiem wygłosił łajdak Vautrin w "Ojcu Goriot" Balzaka. Istotą przemowy było, że najlepsza kariera zawodowa nie przyniesie Rastignacowi więcej niż ułamek tego, co uzyskałby od razu, żeniąc się z córką bogatego człowieka. I Vautrin

miał rację: zaliczanie się do najwyższego procentu XIX--wiecznych spadkobierców i po prostu korzystanie z odziedziczonego majątku zapewniało życie na poziomie blisko dwuipółkrotnie wyższym niż ten, który był udziałem 1 proc. najwyższej opłacanych pracowników.

Dziś zarówno dochody z kapitału, jak i odziedziczony majątek nadal są potężnymi czynnikami napędzającymi nierówność. A ich znaczenie rośnie. Piketty wykazuje, że we Francji odziedziczona część całego bogactwa gwałtownie malała w okresie wojen i szybkiego wzrostu powojennego, około roku 1970 wynosząc mniej niż 50 proc. Jednak teraz wynosi już 70 proc. - i nadal rośnie!

Odpowiednio do tego nastąpił spadek, a potem wzrost znaczenia dziedzictwa w określaniu przynależności do elity. Poziom życia górnego procentu spadkobierców spadł poniżej standardu życia 1 proc. najwyższej zarabiających pracowników w latach 1910-50, ale po roku 1970 zaczął znowu wzrastać. I choć nie doszedł jeszcze do poziomu z czasów Rastignaca, lepiej dziś mieć odpowiednich rodziców albo dobrze się wżenić, niż wykonywać właściwą pracę.

Bogactwo, którego nie widać

A to może być dopiero początek. Szacunki Piketty'ego wskazują, że era wyrównywania jest już za nami i dojrzały warunki do przywrócenia dziedzicznego kapitalizmu.

Skoro tak jest, to dlaczego dziedziczne bogactwo odgrywa tak małą rolę w dzisiejszych dyskusjach publicznych? Bo same rozmiary odziedziczonych majątków na swój sposób powodują, że stają się one niewidoczne. "Bogactwo jest tak skoncentrowane, że znaczna część społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia. Niektórzy ludzie sądzą, że zalicza się ono do bytów surrealistycznych albo tajemniczych" - pisze Piketty.

Ta trafna uwaga wszystkiego jednak nie wyjaśnia. Bo faktem jest, że najbardziej widoczny dziś przykład szczytowej nierówności - pojawienie się w świecie anglosaskim, zwłaszcza w USA, 1 proc. najbogatszych ludzi - przynajmniej na razie nie ma wiele wspólnego z akumulacją kapitału. Większy jest tu związek z uderzająco wysokimi wynagrodzeniami i dochodami.

Płace realne większości pracowników w USA od wczesnych lat 70. XX wieku wzrosły niewiele, o ile w ogóle. Natomiast wynagrodzenia górnego 1 proc. zatrudnionych wzrosły o 165 proc., a górnego 0,1 proc. zatrudnionych - aż o 362 proc. Gdyby Vautrin wygłaszał swoją mowę dzisiaj, mógłby przyznać, że Rastignac jest w stanie osiągnąć równie dobre wyniki, zostając menedżerem funduszy zabezpieczających, jak żeniąc się z pieniędzmi.

Jakie jest wyjaśnienie tego dramatycznego wzrostu nierówności w wynagrodzeniach, gdzie lwią część wzrostów przypada ludziom na samym szczycie? Niektórzy ekonomiści w USA sugerują, że jest to napędzane przez zmiany w technologii. W słynnym artykule z 1981 r. zatytułowanym "The Economics of Superstars" ("Ekonomika supergwiazd") ekonomista z Chicago Sherwin Rosen dowodził, że współczesna technologia komunikacyjna, rozszerzając zasięg działania uzdolnionych jednostek, tworzy rynki, na których zwycięzca bierze wszystko. I dzieje się tak nawet wtedy, gdy ci zwycięzcy są tylko nieznacznie lepsi w tym, co robią, niż ich gorzej opłacani rywale.

Piketty'ego to jednak nie przekonuje. Jak zauważa, konserwatywni ekonomiści uwielbiają mówić o wysokich wynagrodzeniach różnych wybrańców, np. gwiazd filmowych czy sportowych, sugerując, że ich horrendalne zarobki są zasłużone. Tyle że tacy ludzie stanowią jedynie maleńki ułamek elity zarabiających. Zwykle bowiem natrafiamy tu na przeróżnych menedżerów, których efektywność naprawdę trudno ocenić czy przypisać jej wartość finansową.

Kto ustala, ile jest wart naczelny dyrektor korporacji? Zazwyczaj komitet ds. wynagrodzeń wyznaczany przez tego dyrektora. Piketty dowodzi, że w praktyce menedżerowie wysokich szczebli sami wyznaczają swoje wynagrodzenia, przy czym ograniczają ich raczej normy społeczne niż jakakolwiek dyscyplina rynkowa. I to erozja tych norm, a nie względy ekonomiczne, powoduje, że owe wynagrodzenia są niebotyczne.

Piketty argumentuje, że obniżanie stóp podatkowych dla bogatych ośmieliło elitę zarobkową. Gdyby naczelny dyrektor przewidywał, że zachowa jedynie małą część dochodów, które może uzyskać, lekceważąc normy społeczne, to mógłby dojść do wniosku, że jego bardzo wysoka pensja nie jest warta wrzawy, jaką wywoła. Obniżmy radykalnie najwyższą stopę podatkową, a być może taki człowiek zachowa się inaczej.

Tyle że nawet jeśli dotychczasowy wzrost nierówności był głównie wynikiem dochodów z wynagrodzeń, kapitał również miał znaczenie. A kiedy spojrzymy w przyszłość, sprawy będą zapewne wyglądać zupełnie inaczej. Obecne pokolenie najbogatszych w USA być może składa się głównie z menedżerów niż z rentierów, ludzi żyjących z nagromadzonego kapitału, ale ci menedżerowie mają spadkobierców. Za dwa dziesięciolecia USA mogą stać się społeczeństwem zdominowanym przez rentierów w stopniu nawet większym niż Europa z la belle époque.

Przelotny wynik chaosu

Tak jednak nie musi być. Z "Kapitału w XXI wieku" jasno wynika, że polityka publiczna może bardzo wiele zmienić, mimo że warunki ekonomiczne sprzyjają skrajnej nierówności. To, co Piketty nazywa "dryfowaniem w stronę oligarchii", da się zatrzymać, a nawet odwrócić - o ile zażyczy sobie tego polityczna społeczność.

Bo progresywne opodatkowanie - w tym zwłaszcza podatki majątkowe i spadkowe - może być potężną siłą ograniczającą nierówności. Piketty kończy swoje dzieło apelem o wprowadzenie takiego opodatkowania. Niestety, historia omówiona w jego książce nie skłania do optymizmu.

To prawda: przez znaczną część XX wieku progresywne opodatkowanie przyczyniało się do ograniczenia koncentracji dochodów i bogactwa; można by przypuszczać, że wysokie opodatkowanie tych na górze będzie politycznym skutkiem zetknięcia się demokracji ze znaczną nierównością. Piketty twierdzi jednak, że triumf progresywnego opodatkowania w XX wieku był "przelotnym wynikiem chaosu", albowiem gdyby nie wojny i wstrząsy współczesnej europejskiej "wojny trzydziestoletniej", nic takiego by się nie stało.

Udowadnia to, posługując się przykładem francuskiej III Republiki. Jej oficjalna ideologia była bardzo egalitarna, jednak koncentracja bogactwa i dochodów oraz dominacja przywilejów ekonomicznych nabywanych przez dziedziczenie były równie duże jak w arystokratycznej brytyjskiej monarchii konstytucyjnej. W dziedzinie polityki publicznej nie zrobiono niemal nic, by przeciwstawić się dominacji rentierów, a podatki od nieruchomości były śmiesznie małe.

Dlaczego dysponujący prawami wyborczymi Francuzi nie wybrali polityków, którzy wystąpiliby przeciw rentierom?

No cóż, wówczas, jak i teraz, wielkie bogactwo umożliwiało kupowanie wielkich wpływów - nie tylko w polityce, ale też w debacie publicznej. Słynne jest powiedzenie Uptona Sinclaira: "Trudno spowodować, by człowiek coś zrozumiał, jeżeli jego pensja zależy od tego, żeby tego nie rozumiał". Piketty, spoglądając na historię własnego kraju, dochodzi do podobnego wniosku: "Doświadczenia Francji z czasów la belle époque udowadniają (o ile w ogóle potrzeba na to dowodu), że żadna hipokryzja nie jest zbyt wielka, jeśli elity ekonomiczne i finansowe mają potrzebę obrony swych interesów".

Do podatków! Do broni!

To samo zjawisko jest widoczne dzisiaj. Polityka nierówności wyprzedza rzeczywistość. Choć elita ekonomiczna USA zawdzięcza swój status głównie wynagrodzeniom, a nie dochodom kapitałowym, w retoryce ekonomicznych konserwatystów już teraz czci się raczej kapitał niż pracę, raczej "twórców miejsc pracy" niż robotników.

W 2012 roku Eric Cantor, lider republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów, wybrał Święto Pracy (sic!), by takim oto tweetem uczcić właścicieli firm: "Dzisiaj czcimy tych, którzy podjęli ryzyko, ciężko pracowali, zbudowali swoje przedsiębiorstwo i zasłużyli na swój sukces".

Piketty kończy "Kapitał w XXI wieku" wezwaniem do broni - apelem o opodatkowanie majątku, aby powstrzymać narastającą potęgę dziedzicznego bogactwa. I można by się do tego odnieść z cynizmem, gdyby nie trafność diagnoz Piketty'ego. Bo dzięki niemu o bogactwie i nierówności już nigdy nie będziemy rozmawiać tak, jak rozmawialiśmy dawniej.

Przeł. Andrzej Ehrlich. Tekst ukazał się w "The New York Review of Books"

Paul Krugman - ur. w 1953 r., ekonomista amerykański, w 2008 r. otrzymał Nagrodę Nobla. Publicysta "New York Timesa". Przeciwnik polityki zaciskania pasa jako odpowiedzi na kryzys gospodarczy.